

Stanisław Mikke

Sąd incognito idzie

Palestra 42/9-10(489-490), 55-57

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



STANISŁAW MIKKE

Sąd incognito idzie

Przypominam sobie sprzed lat, z czasów mojej aplikacji, takie zdarzenie. Sędzia ogłaszał wyrok. Wyrok surowy, można powiedzieć, że dla wszystkich zaskakująco surowy nawet jak na sprawę oskarżonych o okradanie pielgrzymów modlących się w Jasnogórskiej Kaplicy.

Orzeczone kary zdenerwowały publiczność. Chyba bez wyjątku stanowiła ją liczna grupa kompanów złodziejskiej szajki, która stanęła przed sądem. Jeden z nich podbiegł do stołu sędziowskiego:

– Panie Z. – zaczął wygrażać sędziemu. – Jak pan natychmiast nie zmieni tego wyroku, to... – Tu padły słowa wówczas jeszcze nie z literackiego języka.

Skład sędziowski i prokurator ledwo zdążyli zabrać akta i opuszczali salę, gdy rozpoczęło się demolowanie sprzętów.

Co było potem? Mimo natychmiastowego powiadomienia milicji, ta nie kwapiła się do jakiegokolwiek interwencji. Natomiast banda wyrostków, szybko się powiększająca, oczekiwiała, wydając agresywne okrzyki, przed gmachem sądów. Sędzia, ławnicy i prokurator wyszli tylnymi drzwiami, przemykali się do domów podwórkami.

Incydent, z towarzyszącą mu skandaliczną obojętnością milicji, która w konsekwencji dopuściła do bezkarności sprawców zajścia i gróźb, miał wymiar lokalny, choć mocno odcisnął się – dobrze do pamiętam – właśnie przez ową

bezkarność, w świadomości wszystkich tamtejszych sędziów i prokuratorów, nie mówiąc już o samych bezpośrednio zagrożonych.

Do takich zdarzeń zapewne dochodziło od czasu do czasu, ale nie wywołały one nigdy skutków w funkcjonowaniu całego wymiaru sprawiedliwości.

No i doczekaliśmy się wreszcie, w co wielu nie wierzyło, wolności. I przekonujemy się na co dzień aż nadto dobitnie, że nie jest, niestety, tylko złotą, ale i oznacza ona wolność tak do dobrego, jak i do złego. Ukrócenie tego „złego” w warunkach znanych przecież, ale skądinąd, a u nas dopiero co wprowadzanych reguł demokratycznego porządku staje się zadaniem nadspodziewanie trudnym. Chwilami można nawet odnieść i takie wrażenie, że przekraczającym nasze możliwości, bo uderzenia następują ze wszystkich stron. A co najgorsze, i to już nie w sferze subiektywnych odczuć, ale faktów, nierzadko krwawych: im dalej, tym gorzej.

Przejawem swoistej bezradności wobec świata przestępczego było wprowadzenie do postępowania karnego świadka *incognito*. W naszym wydaniu instytucji stosowanej najczęściej nieumiejętnie i nieroztropnie, bez przewidywania skutków zarówno dla obrony jak i oskarżenia. Instytucja ta okazuje się w praktyce żałośnie kulawą. Oto czytam w „Rzeczpospolitej”, iż w sprawie, o rozbój na warszawskiej Woli utajniono dane czterech świadków, wśród nich torturowanej ofiary. W czasie śledztwa odtajniono jednak personalia tego ostatniego, gdyż i tak były znane oskarżonym. Ale wkrótce prokuratura ponownie utajniła dane ofiary. Obrońca żądając odtajnienia retorycznie pytał – pisze dzien-

nikarz – czemu służy instytucja świadka *incognito*: jego ochronie czy utrudnieniu prawa do obrony? Jeden z oskarżonych w tej sprawie poprosił o odtajnienie pozostałych świadków i wymienił ich nazwiska.

Ten drugi, nielegalny świat nie ograniczył się do zastraszania tych, którzy mieli by świadczyć. Sięgnięto po potężniejszy argument. Posiać strach także wśród ścigających i wymierzających sprawiedliwość.

Okalecznie kobiety – prokuratora w Opolu i inne podobne wydarzenia, jak się okazało, były dopiero początkiem. Z punktu widzenia tamtego świata udanym. Rozumiem, niektórym prokuratorom i sędziom należało zapewnić stałą ochronę (trąbienie o tym w mass-mediach jest skrajną głupotą), lecz to nic innego jak, przynajmniej na dziś, wygrana tamtej strony. Która nie zamierza się zatrzymać. Czym bowiem było zabójstwo Marka Papaty, byłego Komendanta Głównego Policji, jak nie zamiarem dalszego zastraszania i pokazania, kto tu górą. Nieujawienie sprawców tej zbrodni – aż nie chce się mówić, że wszystko wskazuje na to, iż tak się stanie, by nie wywoływać czarnego scenariusza – świadczyć będzie o całkowitej już bezradności i bezpośrednim zagrożeniu paraliżem organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości.

Strach zaczyna tymczasem pełznąć. Bać się jest rzeczą ludzką. Odczuwali go ponoć najodważniejsi, ale tego nie okazywali. Z bardzo różnych powodów, i z takiego również, że po prostu nie można było się bać.

Jestem w stanie wyobrazić sobie lęki sędziów, którzy – w ostatnim czasie mieliśmy dwa takie wypadki – nie wyrazili zgody na ujawnienie przez

telewizyjnych reporterów wizerunków i danych personalnych składu sędziowskiego podczas ogłaszania wyroków. Niemniej jednak podanie takich informacji przez państwową telewizję w głównych wydaniach „Wiadomości” było wysłaniem tak społeczeństwu, jak i grupom przestępczym pewnego, bardzo niedobrego sygnału: oni zaczynają się bać.

Czy te, chyba odosobnione wypadki zakazu udostępnienia środkom masowe-

go przekazu personaliów i wizerunków sędziów (jeden z nich zaprzeczył później, iż wydał zakaz ujawnienia nazwiska) są zapowiedzią dalszych utajnień sędziów?

Czy zatem należy się na przykład spodziewać, że w niektórych sprawach znikną z wokand nazwiska sędziów? Czy... Dalsze rozważania w tym kierunku prowadzą do absurdu. To prawda, kat ukrywał swoją twarz, ale w całej historii wymiaru sprawiedliwości sędzia nigdy.